

ZJEDNOCZONE PISMA

„Lwów i Wilno,” 42, Eton  
Place, Chalk Farm, London,  
N.W.3.

„Pod Prąd,” Case Postale 155,  
Fribourg 1, Suisse.



POD PRĄD

PISMO POLSKIEJ MYŚLI NIEPODLEGŁEJ W SZWAJCARI



BO WOLNOŚĆ  
KRZYŻAMI SIĘ MIERZY...

*Nie w modzie jest teraz patos wśród nas. Słuchajcie żołnierzy Armii Krajowej, Drugiego Korpusu, Dywizji Pancerniej, jak gniewnie się marszczą, gdy mówią o walce, ofierze i krwi; za dużo krwi było i wlatów pod niebo, i chwały za dużo, na życie wystarczy. Codziennosc nie chodzi w koturnach.*

*Ojczyzna i bagnet, Kutno i Hel, Narwiki, Tobruki, skrzydła lotników. „Marsz, marsz Dąbrowski z ziemi włoskiej do Polski,” „Wiher” i „Burza” i Bóg wie, co jeszcze... To stycyzna powstańców, to dni listopada, echo zakłete przez sto lat nie zgasio, to hasło wielkie a nieludzkie, to najwspanialsze a okropne hasło ryło się w duszach jak plug i jak diament, że „wolność krzyżami się mierzy...”*

*Że, znaczy, wolność jest jak autostrada, rzucona z Warszawy na wsze strony świata, czy jak z autostrad obryęcz na granicach, co metr znaczona krzyżem dla kierunku... Im więcej grobów, tym dłużej, tym lepiej.*

*Recepta prosta i łatwa nad Wisłą, ani rozumu do niej nie potrzeba, ani sojuszków, ani polityki, krew nie kosztuje, grób tańszy od czolga. Tłumami krzyże na szlakach wyrosły, z drzew polskich, ruskich, francuskich, norweskich, z glazów włoskich, z liwijskich kamieni, wszędzie bułdula pod wolność starczyło. I krzyżów starczyło. Z Warszawy do Lwowa, z Krakowa do Wilna, od Zbrucza po Odrę granice byś nimi jak gęsto wymościł!*

*A nie starczyło. Widocznie w rachunku błęd jakiś straszliwy zawarty być musiał... Za błędy się płaci. Oprócz żywych wczoraj — i wczoraj zmarli pokryli rachunek. Placila Legenda: a listopadowa i ta ze stycznią. Nie mogły się równać z wrześnie pełnym słońca i drzącym zarem słońca i pożarów, z czerwem francuskim, i naszym niestety, z sierpniem plomiennym generała Bora, z lutym narzeszcie, tatarskim, przekletym, gdy polską wolność pocięto tak zgrabnie, że jej nie starczy z Warszawy do Bielna, najwyżej na jedną londyńską ulicę.*

*Nie w modzie więc teraz pato-*

wódca pisze do gen. Andersa, dziękując mu w imieniu swych Żołnierzy. Między wojskiem na obczyźnie, a Krajem zawiązuje się najmocniejsza, niezniszczalna nie wspólnoty, już nie braterstwa, ale jedno-istnienia.

Rzecz dziwna. Ten tajemniczy, mistyczny wprost od pierwszej chwili nim bitwy, stoczony o tysiące kilometrów przecie, bitwy, która, militarne biorąc, nie była żadnym punktem zwrotnym w wojnie, a tylko fragmentem wcześniejszych i późniejszych sukcesów alianckich — nie przysłał w najmniejszym stopniu w tragicznych latach i wydarzeniach, które nadeszły wkrótce.

O ile nie trudno zrozumieć entuzjazm zwycięstw polskim w Warszawie 1944 roku (maj), dygocącej nienawiścią do Niemców i naładowanej jak pocisk żądzą ostatecznej z nimi rozprawy, o tyle część dla Monte Cassino „powinna była” osłabnąć i zblednąć w Polsce 1945 i 1946 roku, w Polsce odartej brutalnie ze złudzeń, oszukanej, zawiędzonej, znówu podbitej, skazanej na niedługą, szarą egzystencję niewolnika na okres nie wiadomo jak długi. Pietyzm dla zwycięstwa, które nie okazało się wcale zwycięstwem decydującym, miał wszelkie prawo zwiędnąć i podzielić los bezużytecznych pamiatk, które wynosi się na strych.

Tak się bynajmniej nie stało. W Polsce dokonana się rzecz dość paradoksalna.

Świadomości klęski i nieszczęścia narodowego obróciła się przeciw koncepcji walki zbrojnej w ogóle. Publicystyka krajowa, zachęcana zresztą z zapałem przez reżim, wzięła na cel „zgnubny romantyzm,” prowadzący do nieużytecznych hektatomb, jak Powstanie Warszawskie, i przeciwstawiła mu „pracę organiczną.” Obrona idei walki zbrojnej była komentowana jako perwersja, zbrojenie, jako gruba nieprzyzwoitość.

A jednocześnie kult dla owej bitwy, stoczony we Włoszech, szerzył się w dalszym ciągu i wkrótce przybrał rozmiary żywiołowego zjawiska. Nawet przysięgi i listopadowa i ta ze stycznią.

nego znaczenia i moralnych skutków.

Sukcesów w ubiegłej wojnie, prawdziwych, rzetelnych, wypracowanych sumiennie i ofiarnie wywalczonych mieliśmy tak mało, że sukces myśli i bohaterstwa, uzyskana pod murami włoskiego opactwa, skupiając w sobie jak w soczewce tęsknoty milionów ludzi, zajął przejobem miejsce w skarbcu narodowych rocznic i stał się Legendą, natychmiast, jeszcze za życia zwycięskiego doświadczy i zwyciężskiego żołnierzy. Właśnie Monte Cassino powstrzymało ludzi w Polsce powojennej przed zbyt krancowymi sędami o wartości walki zbrojnej i o naszych w niej szansach. A że była ona treścią życia polskiego przez ważnych, podwójnych, potrójnych lat pięć, przeto Monte Cassino ostrzegło przed zbyt głębokim wstrząsem i zalaniem, jakie rodzi się nieuchronnie w obliczu zupełnego bankructwa koncepcji, na którą szło się na całego. Monte Cassino stało się deską ratunku, której Kraj uczepił się instyktownie, by zachować wiarę w siebie. Bez tej wiary, gwarantki przyszłości, sowietyzacja Polski była by nieskonczenie łatwiejsza, a zachowanie prawdziwego oblicza narodowego o wiele trudniejsze.

\*  
\*  
\*  
Obchód rocznicy w Klubie „Orla Białego” w Londynie zgrupował pół tysiąca żołnierzy 2. Korpusu, którzy mogli się tu stawić w dniu powszednim. Obecny był Prezydent R.P. Załeski, premier Tomaszewski, członkowie Rządu, liczni goście.

Effektownie pomysłała i doskonale wykonana przez S. Gliwę i p. Mikulę dekoracja w halu wyobrazała wyrwę od pocisku w ścianie skalnej, przez którą widać klasztor Monte Cassino.

Gen. Anders wystąpił w mundurze. Tekst jego przemówienia podawała prasa emigracyjna oraz B.B.C. Zakończono ujął mowa tak:

„Walczyliśmy o Polskę. Na komentarzu pod Monte Cassino leżało koło siebie żołnierze polscy wszystkich wyznań: rzymsko-katolicy, greko-ewangelicy, ewangelicy, prawosławni, żydzi i mahometanie. Jak głosi napis na pomniku — oddali oni duszę Bogu, ciało ziemi włoskiej, a serce — Polsce. Większość poległych to bracia

Uważamy to za wiążące

W artykule „Tragiczna deklaracja” („L. i W.”, z 15 maja 1949) przytoczyliśmy następujący passus z deklaracji Stronnictwa Narodowego, z 9 maja r.b.:

„Obecnie, kiedy Rządowi Polskiemu znajdującemu się na wychodźstwie zostało przez wszystkie niemal państwa cofnięte uznanie i kiedy wobec tego jego oficjalna działalność jest w najwyższym stopniu utrudniona, zachodzi potrzeba powołania takiego ciała przedstawicielskiego, które nie pochodząc z nominacji nieuznanego Rządu, pozostając zaś w ścisłym, organicznym z nim związku, mogłoby podjąć działalność na terenie międzynarodowym, bez formalnych przeszkód i dyplomatycznych trudności...”

Oświadczenie powyższe uznaliśmy za zapowiedź powstania jakiegoś komitetu narodowego, który będzie dążył do odebrania rządowi legalnemu dziedziny polityki zagranicznej. Zapewnienie, iż komitet ten będzie pracował w „ścisłym, organicznym związku” z „nieuznanym rządem” nie wydało się nam szczere. „Ścisły i organiczny związek” — naszym zdaniem — powinien był się zacząć od razu, od samego ogłoszenia takiej zapowiedzi.

Ale oto „sekretarz komitetu politycznego Stronnictwa Narodowego,” p. Rojek, przesyła nam list następujący, który nas ucieszył nadzwyczajnie:

Czy pozwoli mi Pan skrytykować Pański artykuł w redakowanym przez Pana piśmie? W ostatnim numerze „Lwowa i Wilna” (z 15 maja 1949 r.) wycisną Pan z tekstu oświadczenia Stronnictwa Narodowego, wydanego z okazji powołania Rady Narodowej przez rząd p. Tomaszewskiego, wniosek, iż Stronnictwo Narodowe dąży do utworzenia Komitetu, który by w miejsce rządu prowadził politykę zagraniczną. Wniosek ten wysnuł został przez Pana z tekstu, który nie daje najmniejszych do niego podstaw. Wysłuchanie na zebraniu z zgodą rządu — naturalnie reprezentacyjnego i odpowiednio ukonstytuowanego — reprezentacji politycznej, a powołanie do życia instytucji z rządem niezwiązanej, to są rzeczy zupełnie różne. Rząd brytyjski n.p. zapowiedział już wydelegowanie przez siebie do Rady Europejskiej przedstawiciela złożonego z reprezentantów trzech głównych stronnictw. Nie wynika z tego bynajmniej, by to „partyzne,” a właściwie ogólnonarodowe, przed-

działa przez jakieś dwa czy trzy lata na 74, Cornwall Gardens, Rada Stronnictw Politycznych, do której wchodziły prócz Stronnictwa Narodowego także socjaliści, stronnictwo Pracy, stronnictwo „Wolność” i miała zadania podobne do spełnienia, jakie teraz p. Rojek stawia projektowanemu komitetowi. Nic jednak szczególnego nie zrobiła.

O ile jednak list p. Rojka uspakaja nasze obawy co do wejścia Stronnictwa Narodowego na drogę tworzenia Komitetu Narodowego, to znów deklaracja Porozumienia Stronnictw Demokratycznych z 20 maja obawy te z powrotem wskrzesza.

Deklaracja ta kończy się następującymi wyrazami:

„Stronnictwa wchodzące w skład Porozumienia Stronnictw Demokratycznych podejmą w najbliższym czasie krok zmierzający do utworzenia polskiej reprezentacji narodowej i państwowej.”

Na to odpowiedź może być tylko jedna:

Polska reprezentacja państwowa i narodowa zagranicą już istnieje: Stanowi ją Prezydent Rzeczypospolitej i powołany przez niego rząd. Wolno jest każdemu Polakowi mieć własne zdanie w sprawie składu tego rządu, wolno dążyć do jego zmiany, ale nie wolno tworzyć mu „konkurencji,” która by kwestionowała fakt, że Polacy utrzymali swój rząd legalny będący podmiotem zobowiązań międzynarodowych.

W deklaracji swej ludowcy, socjaliści i zaprzyjaźnieni z nimi p. Popiel (powiedz mi, kto jest twoim przyjacielem, a ja ci powiem kim jesteś) oświadczają, że w ich reprezentacji wezmą udział wszystkie organizacje polityczne, z wykluczeniem jedynie wszelkiej organizacji totalistycznych. Zdanie to nastroja mnie filozoficznie. Czy były w Polsce organizacje totalistyczne, czy był w Polsce totalizm? Umowa jałtańska trzech mocarstw twierdzi, że tak, ale to nieprawda. Józef Piłsudski mógł być niewątpliwie dyktatorem, gdyby chciał, ale nie chciał. Przedwojenna Polska nigdy państwem totalistycznym nie była; organizacje rządzące od 1926 r. wpiernę BBWR potem OZON nigdy partiami totalistycznymi nie były

rodzaju prowizorycznego polskie go uniwersytetu. Wypadkowo słyszałem wtedy, jak Kot mówił: „zrobiono to bez mego udziału, ...przecież między profesorami są także... różni ludzie... i widziałem jak mu oczy błyszczały. Jedrzejewicz wyrugował z katedr uniwersyteckich kilku profesorów, otóż gdyby wtedy rządził stronnictwo ludowe i ministrem oświaty był Kot, to by ich wyrugował jakieś dwa tygodnie. Jeśli koniecznie się upiemy, że w Polsce istniał sanacyjny totalizm, to pozwólcie sobie powiedzieć, że totalizm ludowcowy, koci, byłby o wiele gorszy.

CAT.

ROZMOWA Z P. SERGOTEM

W ostatnich dniach kwietnia wyjechać nielegalnie z Polski, a 5. maja był już w Londynie, to wczynn zupełnie niezwykły. A jednak dokonał tego adw. Alfons Sergot, którego „rekord” nie uszedł zresztą uwagi prasy brytyjskiej.

O sobie mec. Sergot mówi mi parę słów na końcu rozmowy, którą odbywamy w saloniku zacisznego hotelu koło Cromwell Road. Dla dobra Czytelników zmienię jednak ten porządek i zacznę od „prezentacji”.

P. Sergot pochodzi z Bydgoszczy, ukończył prawo i filozofię, z zawodu jest adwokatem. Przed wojną pełnił funkcje v.-prezesa Okręgu Stronnictwa Narodowego na Pomorzu, był czynnym działaczem chrześcijańskich związków zawodowych „Praca Polska”. W wrześniu odbywa kampanię w 16. P.A.L., dostaje się do niewoli. W Oflagu II C Woldenberg jest przesłaniem Kola Prawników i Kola Stronnictwa Narodowego, które dochodzi tam do stanu 2 tys. członków na 6.350 jeńców w obozie. W r. 1945 wraca do Polski, po krótkim okresie organizowania sądownictwa w Gdyni wraca do adwokatury. W r. 1946/7 zostaje aresztowany przez U. B. i więziony przez 10 miesięcy w Gdańsku pod zarzutem czynnej pracy podziemnej. Wobec kompletnego braku dowodów zostaje zwolniony z więzienia, odtąd ukrywa się przed Bezpieką, wreszcie pod koniec kwietnia 1949, skłoniony powodami, które za chwilę wyjaśni, przedostaje się szczęśliwie za granicę i otrzymuje prawo azylu w Anglii.

Jeżeli istnieją „typowe typy”, to mec. Sergot jest typowym Pomorzanie. Średniego wzrostu, krepły i silny, niezbyt młody, niezbyt „faszyści”, bo reżim ujadzi w nich słabego, raczej — Moim zdaniem, żadnych. T.zw. „Ruch Gomułki” jest nieszczyzny i tępony zjawide, niż największy „faszyści”, bo reżim ujadzi w nich słabego, raczej

tolickich, jak Żukrowski. Czyż to tłumaczyć, jeżeli to prawda? — Niestety, prawda. Inteligencja okazała się w pewnym stopniu mniej odporna na pokusy. Ale też była i jest poddana olbrzymiej presji. Np. wobec pisarzy i uczonych stosuje się taktykę dyskretnej kupowania charakterów, ofiaruje im wspaniałe warunki mieszkaniowe, wysokie pensje niezależnie od tego, co i ile pisze, wysyła darmo do uzdrowisk krajowych, a nawet za granicę. Efekt, zwłaszcza w zestawieniu z okresem przedwojennym, bywa często duży, taki niespodziewany dobrobyt łatwo deprawuje, robi coraz mniej wrażliwym na sprawy sumienia. Takim właśnie sposobem do stanu zupełnego upodlenia doszli Edward Ligocki, J. Meissner, Strumph-Wojtkiewicz, Tuwim i inni, z uczonych biolog Dembowski z Łodzi. Jeżeli ten system nie chywa dość szybko, „oporne” eliminuje się z władz związku (w związku pisarzy nie ma we władzach ani jednego katolika), stosuje najrozmaitsze utrudnienia i szkany. Takie operowanie dobrobytem i strachem na zmianę jest potężną bronią w ręku reżimu. Pyta pan o Gałczyńskiego? Niepoważny błazen poezji, do tego stopnia, że mu ludzie nie mają właściwie za złe jego deklaracji miłosnych pod adresem Lenina i Stalina.

— Komuniści umieją nadąca organizowanymi przez siebie manifestacjami charakter masowy, w obchodach 1. maja brało podobno w tym roku udział miliony ludzi. Co to znaczy?

— Ordynary przymus. Powiem panu, jak to wyglądało przy „kongresach zjednoczeniowych”. Całą załogę fabryczną spędzano razem, ktoś czytał referat, ktoś proponował rezolucje, jeszcze ktoś kandydatury do wyborów i — kto się sprzeciwiał? Czy pan by się sprzeciwiał w takiej sytuacji? Ja też nie. I takim właśnie sposobem komuniści operują „masami”. Ulubionym chytem jest sporządzenie list obecności na różnych nakazanych przez reżim pochodach, nieusprawiedliwiona nieobecność niejednego już postawiła w stan oskarżenia o „czynne manifestowanie wrogosci wobec Polski Ludowej”. Po sławnym ultimatum Wołskiego do Kościoła Katolickiego w Polsce, demonstracje i zebrania były zarządzane na pełny gaz, organizowała je często po prostu Bezpieka, bo trzeba panu wiedzieć, że personalni szefowie fabryk to często dawni funkcjonariusze U. B., którzy nie zatracili oczywiście ścisłego kontaktu. W tych zebraniach, skierowanych przeciw Kościołowi, brali więc udział masowy i praktykujący katolicy, kobiety dostawały spazmów lub ataków histerycznych, ale też były, bo co robić?

— Co należy sądzić o t.zw. „narodowych komunistach”? Nie tylko w Polsce istnieją opory przeciw zbyt daleko idącemu podporządkowaniu interesów narodowych dyspozycjom Kremla. Czy w Polsce tendencje te reprezentują realną siłę i czy mają szanse częściowego choćby zahamowania procesu sowietyzacji.



— Jaka nuta dominuje w nastrojach w Polsce? Optymizm czy pesymizm, nadzieje czy zniechęcenie, a może apatia i zubożnienie?

— Przygnębienie spotyka się często, zniechęcenie b. rzadko. Ludzie wierzą, że w wyniku wydarzeń międzynarodowych, najprawdopodobniej wojny, Rosjanie pójdą precz i to niedługo.

— Czy ew. nawoływania do ruchawki, pochodzące z zagranicy, ze źródeł polskich lub obcych, mogą wywołać większy efekt?

— Absolutnie nie. Żadna dywersja, nawet grubo finansowana, nie chwyci. Ludzie nie zapomnieli jeszcze wszystkiego.

— Co sądzi się w Kraju o Mikołajczyku?

— Autorytet jego niewątpliwie osłabł, gdyż przekonano się, że sam padł ofiarą sprytniejszych od siebie, ale specjalnego gniewu na niego nie ma, nikt by się zbytnio nie zdziwił, gdyby Mikołajczyk był jeszcze kiedyś w Warszawie ministrem. Natomiast ludowcy stanowią w dalszym ciągu b. poważną siłę.

— Czy fakt istnienia emigracji ma wpływ krępujący na nastroje w Kraju, czy też jest ten, podsycający złudne nadzieje, jest raczej szkodliwy?

— Emigracja jest oceniana przede wszystkim jako rezerwoar ludzi niezależnych. Nie ma ona tyle wpływu, by decydować o nastrojach w Polsce. Ale śledzi się uważnie jej poczynania, coraz uważniej.

Rozmowę przeprowadził SAM.

## „ICH CZWORO”

Sztuka Gabrieli Zapolskiej, wystawiona przez Teatr... „Sziafeta”.

Węć los emigracyjny nie oszczędził Gabrieli Zapolskiej...

Choć umarła przed kilku-dziesiątkami lat, żyła dalej w sentymencie Małki Szwarzenkopf, w patriotyzmie studentki warszawskiej, która jak „Tamten” zasiadła sobie na zaszczyt Cytaдели, we współpracy „Panny Maliczewskiej”, w nienawiści do koltunstwa Dulskich, pływoty Żabusi, glupoty „Ich czworo” i... fala emigracji zagarnęła ją, sprowadzając do Anglii. Zapolska przez całe swoje życie szukała wrażeń, zniechęcała ją więc może ta „Grande aventure” oglądania jednej ze swoich sztuk na przygodnych scenach polskich obozów, tułaczki po hotelach, poznanja polskiego Londynu...

Słyszałem nawet jak po przedstawieniu w Ognisku Polskim Zapolska, schodząc ze sceny razem z... ich czworgiem, zwróciła się do Ryszarda Kiersnowskiego, prosząc go o chwilę rozmowy i parę objaśnień.

— Przepraszam, że zatrzymuję Pana — powiedziała Zapolska — ale poznając w Panu znaną mi dobrze z wyglądu i charakteru postać Profesora, jak też środowisko i epokę jakie go wydały, cieszę się, że pozostał Pan po dawnemu niewiadomym życia i nieznaną kobiet, najprzód poszedzsy na

Ś. † P.

## MAURYCY Hr. POTOCKI

Rotmistrz 1 Pułku Ułanów Krechowickich, Kawaler Krzyża Virtuti Militari, Krzyża Walecznych i innych.

Ur. w Jabłoni 16.5.1892, zmarł w Londynie 15.5.1949 r.

Nanożenstwo żałobne i pogrzeb odbył się w sobotę, 21-go maja b.r., o godz. 11 na cmentarzu St. Mary's Cemetery.

Przyjaciele.

## LWÓW, ul. PAŃSKA 5

Lwów mojego dzieciństwa miał inne ulice, albo też to same ulice inne nośły nazwy. To dawne czasy: czasy dyskusji, czy wiek zaczyna się w 1900, czy w 1901 roku. Zdałoby by się oczywiście, że w 1901, ale niektórym było tak śpieszno do nowego stulecia, że zaczęli ją od zera.

Moje sznurowane buciczki dreptały wtedy, tuż przy długiej sukni matczyniej, z ulicy Gołębiej (Chmielowskiego), gdzie był nasz dom, na Pańską (Piłsudskiego). Szło się najpierw ulicą Mochnackiego w dół (jeszcze przed moją pamięcią nazywała się ponoć Garncarska), skosem przez plac Akademicki, mijając figurę św Jana u wylotu Ścieżkowej (Romanowicza), gdzie była zasypana rzeczka Półwet i stała drewniana barierka. Przy barierce miał „bojko” stragan z owocami: tam w zimie nad piecykiem, gdzie w żarze węglowym trząskają kasztany, wisiała pachnąca chmura, tam suszone śliwki bosniańskie święty czarnym blaskiem. Wczesnym latem zakwitały pasowe peczyki czeresni powiązanych w kokardki. Szklane gronka porzeczki. Białawy kwas chrupki papierońki. I lasy, jeszcze był róg z piekarskim sklepem, skąd zawsze buchał przesiłny zapach trzszczęckiego pieczywa, zsypany z kosza za drewnianą zagrodą na ladzie. Dalej sznurowane kroczi stukały ulicą Frydry, która nie zmieniała nazwy, lecz fizjonomię, odkąd padł ofiarą rozbudowy miasta przesiłny ogród po prawej stronie. Na jego miejscu wybudowały wysokie kamienie i zabłysła, już około roku 1910, prowincjonalny, lustrzanym przepychem narozna kawiarnia Szkocka. Proszę: właśnie Szkocka! Jakós nigdy nie pomyślało się o tym, aż dopiero tutaj. Ta lwowska szkoćkość była zupełnie inna, bo i bardziej egzotycka i bardziej swojska niż rzeczywistość. Z Fredry, przeciąwszy jezdnię ulicy Batorego, gdzie były niezliczone antykwiariaty naprzeciw Trzeciego Gimnazjum, wchodziło się w ulicę Kamienną: tu, na lewo, był front Szkoły Realnej sąsiadującej z gimnazjum za rogiem. Malusienka to były uliczki i wcale nie ponętne. Kamienną przemianowano potem, bodaj że na Kubali. Choć nie była kamieniejsza od innych, wydawała mi się bardziej szara i twarda. Naprzeciw

a w dni pogodne wyjeżdżał hotel ze stulatką i cicho trzapały zaafarowane wdowy, migające na tle sieni siwizna i czernią.

Nie jest więc to wspomnienie radosne, jak prawie wszystkie z tego domu, pulsujące młodością, z ogrodu pełnego zadyśzania, pachnącego rozgranymi malinami albo jesiennym liściem. To wspomnienie jest sepełne i niepokojące, jak zaćmienie słońca.

Wdowy zapewniały, że matka lubi patrzeć na bawiące się dzieci. Zapraszały więc w niedzielne popołudnia co wybrańsze dzieciaki z doskonałych domów, zachęcając do swobodnej zabawy. Wybór padał nieodmiennie i na mnie, oraz na starszego, lecz najbliższego mi wiekiem, brata, Jurka, który był śliczny, błękitnooki, z głową w krótkich, jasnych kędziorkach, z uśmiechem lśniącym bielą zębów i czarującym niewinnością (to buć był, jak my wszyscy, należyty). Oboje byliśmy reprezentacyjni, bo i ja miałam ozdobne, złociste loki. Jakkolwiek, pomimo nieśmiałości, nie byłam strachliwa z natury, te niedzielne zabawy napełniały mi strachem. „Wesoło, wesoło, dzieci!” — powtarzały wdowy. Było istotnie wesoło, jak w rodzinnym grobie.

Salon był olbrzymi, kilka okien i szklane drzwi wychodziły na ogród. Podtaczano fotel z sepepną stulatką w białym czepku, pod którym głowa była zupełnie łyśa, z profilem drapieżnego ptaka. Kościste palce w nieustannym ruchu rwały pasemka płótna. Szeptano:

— Bo ona musi wciąż mieć ręce czymś zajęte. Dlatego skubie, szarpie.

Nie rozumiałam. A że nie lubiłam stawać pytań, więc na długo pozostało mi to niezrozumienie. Co skubie? co szarpie? Znacznie później pojęłam nie tylko, że to nie była dwa czasowniki, ale że chyba obyczaj datował z jakichś lat sześćdziesiątych trzecich i trzydziestych pierwszych, kiedy kobiety, niewiągnięte jeszcze w wir powstańców walk, czekały i czuwały, zajęte darcieniem szarpi.

Woskowa twarz staruchy, niespokojne palce podobne do szponów, czarny jedwab sukni zwisył ze szkieletu wglębionego w fotel, spojrzenie oczu jak z bezbarwnego szkła... Trwała

## NA SZPILCE

RÓŻNIE MOŻNA „ZALAĆWIAĆ”

Dr. Altman, delegat reżimu do komisji społecznej ONZ stwierdził, jak podaje prasa krajowa, że:

„problem uchodźców mógł już dawno być załatwiony, gdyby uchwały Zgromadzenia Ogólnego były lojalnie wykonywane. Zamiast popierania repatriacji międzynarodowa organizacja uchodźców toleruje propagandę zdrajców faszystowskich i zbrodniarzy wojennych, skierowaną przeciwko repatriacji. Niezwykle jaskrawy jest fakt, że podczas gdy budżet tej organizacji przeznaczna na emigrację do krajów zamorskich 68 milionów dolarów, na repatriację poświęca się tylko 2 miliony.”

...Dla IRO byłoby niewątpliwie wygodniej odwrócić ten stosunek, sfinansować raz masową repatriację i mieć potem spokój. Cóż, kiedy zainteresowani nie chcą. Dr. Altmanowi, wysłannikowi reżimu policyjnego, nie mieliby się w głowie, że można w ogóle się liczyć ze zdaniem uchodźców. Już on wie w jaki sposób problem uchodźców mógłby być dawno „załatwiony.” Problem oficerów polskich w Katyniu też „załatwiono” prosto i szybko.

### MIMOWOLNY HOLD

Jeden z najbrzydliwszych sprzedanych literatów polskich, Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, omawia w dzienniku „Rzeczpospolita” książkę gen. Andersa „Bez ostatniego rozdziału.” Ta „recenzja”, przesycona nienawiścią do polskiego generała, który umiał zostać Polakiem w sytuacji napewno cięższej, niż sytuacja Wojtkiewicza, nie odbiega od innych recenzji, którymi uraczyli czytelników reżimowi pisarze. Znalazł się w niej jednak charakterystyczny fragment, wart zacytowania.

„Ten wysoki oficer i kawalerzysta, odznaczony wieloma orderami... skupiwszy przy sobie wiele prostych serc żołnierskich — okazał się jednym z najbardziej przewrotnych polityków. W malowaniu stosunków w Związku Radzieckim prześcignął najbardziej zajadłych kalumniatorów, świadomie przymykając oczy na osiągnięcia i trudności, a przede wszystkim na fakt, że stosunki polsko-radzieckie zaczęły dopiero wchodzić w pierwsze swoje stadium, po długim okresie walk i nieprzyjaźni. Korzystne ułożenie się tych stosunków opóźnione zostało wyłącznie przez gen. Andersa i osobistości pokrewne mu duchem.”

Trudno zapewne o bardziej pochlebne świadectwo dla roli politycznej, jaką w latach wojny odegrał gen. Anders i trudno o większy dlań komplement. Tym bardziej, że w tym jednym wypadku Strumph-Wojtkiewicz nie może być podejrzany o chęć... pochlebiania.

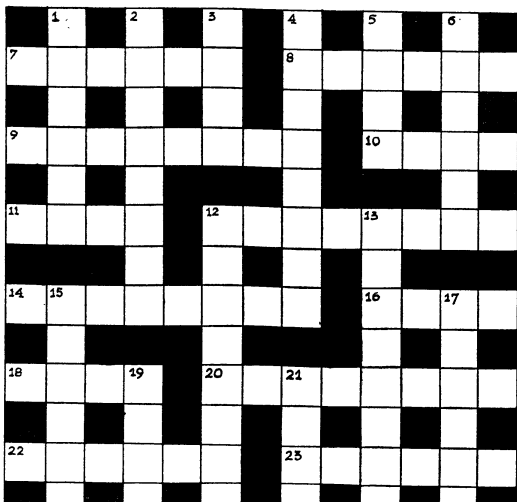
### POJĘTNY WYCHOWANEK

Ton gazet reżimowych wobec Tita jest identyczny, jak gdy pisał one o Churchill lub Franco. Wiadomość o incydencie na granicy jugosławiasko-węgierskiej (poszło o jakąś strzelaninę) zaopatruje „Życie Warszawy” smakowitym i dźwięcznym tytułem:

„Faszystowskie metody prowokacji rządu jugosławiaskiego.”

Pewnie, że Tito stosuje metody faszystowskie. Ale nauczyli się ich przecież nie od Mussoliniego ani Hitlera, prawda? Można szczerze współczuć akrobatom z prasy krajowej: jakże trudno im zastosować się do wymogów i logiki i prawymyślności jednocześnie. I jakże często jest to niemożliwe.

## KRZYŻÓWKA Nr. 22



## BRACIOM ZZA BEREZINY<sup>1</sup>

N. York, w maju 1949.

Skąd, dlaczego o Berezynie w liście z Nowego Yorku? — Dlatego, że takie już są fata polskiej myśli emigracyjnej i takie fata — książki polskiej. Bo dzisiejszy „list z Ameryki” poświęca całkowicie książkę, która nie tylko rozczarowała mnie i oślniła, lecz którą... Ale zanim przystąpię do tematu, pozwolę sobie na krótki wstęp pro domo mea.

Przed przeszło dwoma laty pisałem na lamach „Lwowa i Wilna” o „Przekleństwie Kainowem” traktatu ryskiego, w latach wojny odegrał gen. Anders i trudno o większy dlań komplement. Tym bardziej, że w tym jednym wypadku Strumph-Wojtkiewicz nie może być podejrzany o chęć... pochlebiania.

Ton gazet reżimowych wobec Tita jest identyczny, jak gdy pisał one o Churchill lub Franco. Wiadomość o incydencie na granicy jugosławiasko-węgierskiej (poszło o jakąś strzelaninę) zaopatruje „Życie Warszawy” smakowitym i dźwięcznym tytułem: „Faszystowskie metody prowokacji rządu jugosławiaskiego.” Pewnie, że Tito stosuje metody faszystowskie. Ale nauczyli się ich przecież nie od Mussoliniego ani Hitlera, prawda? Można szczerze współczuć akrobatom z prasy krajowej: jakże trudno im zastosować się do wymogów i logiki i prawymyślności jednocześnie. I jakże często jest to niemożliwe.

Gdy tak pisałem przed dwoma laty, nie spodziewałem się, że dopiero po przepłynięciu oceanu znajdę wspaniały i wstrząsający dokument, popierający moje wywoły. Dokument ten — to powieść w trzech tomach p.t. „Nadberezynicz”. Autor: Florian Czarnyszewicz. Rok wydania: 1942. Miejsce wydania: Buenos A.res... Wydawca: Circulo Argentino Polonia Libre... Stronic: 577 in quarto...

Jak widzimy, od dnia wydania tej książki upłynęło 7 lat. Czy choć jeden jej egzemplarz dotarł do Londynu, do tego Londynu, który jest jeśli nie Mekką, to bądź co bądź centrum (no i — trampolina) polskiej inteligencji emigracyjnej? — Chyba nie, bo nie pamiętam ani recenzji, ani nawet wzmianki w polskiej prasie londyńskiej — przynajmniej takiej wzmianki, która odpowiadałoby wartości tej kapitalnej i wspaniałej powieści. Od szeregu lat, ba, może od paru dziesiątków lat narzekamy (i słusznie) na kryzys książki polskiej, a ściślej — powieści polskiej. Zostanęmy się

berezyniczów” z „Wojną i Pokojem”) robię nie tylko bez wahania, lecz z naszkikiem. Czarnyszewicz — pisarz-samouk — nie dorosł, oczywiście, ani do mroźnych krew, zawrotnych wyżyn tolstojowskiej myśli filozoficznej, ani do matrii stylistycznej Tołstoj, tej matrii, którą w prostocie ducha nazywamy — prostotą stylu... Ale: plastyczność i wstrząsająca prawda psychologiczna typów ludzkich — wartki, żywy, przykuwający, choć pozbawiony wszelkich tricków t. zw. intrygi, tok opowieści — wreszcie piękny język, brmiący oświeceniowo dla uszu, nawiązujący do hegemonii „oficjalnej”, nieco zmaurzonej (czy może skrakowiałej) polszczyzny — wszystko to stawia książkę Czarnyszewicza na poziomie pierwszorzędnego arcydzieła eposu polskiego.

„Nadberezynicz” to epos, a więc — pionyowy i poziomy w ciągu kilku stuleci i aż do roku 1918 — społeczności, która odgrywała wielką rolę historyczną na naszej wschodniej rubieży. Treść — to życie Staszka Bałaszewicza od lat wczesnego dzieciństwa do wieku męskiego, który miał się stać wiekiem głęzi nie tylko dla niego i jego pokolenia, lecz dla samego fizycznego istnienia „nadberezynicz”. Jak dowiadujemy się ze słowa wstępnego, powieść była początkowo pomyślana, jako pamiętnik i dopiero później — „ośmieszony potęgą, barwnością i bogactwem własnych wspomnień autor przetwarza swój życiorys w kronikę, a kronikę — w powieść trzymtomową.” Ta geneza — wyciska na powieści piętno swoiste. Ma swoje wady i zalety. Z czasem, gdy książka Czarnyszewicza nabierze należytego jej rozgłosu i stanie się kapitalną pozycją w każdym księgozbiore polskim, to wady i zalety staną się zapewne wdzięcznym tematem dla wszelkiego rodzaju esejów, rozprawk i innych prolegomenów. Dziś mają one dla nas znaczenie dokumentu — o czym szczegółowo powiem nieco później.

„Nadberezynicz” to — rewelacja, lub raczej — szereg rewelacji. Jedną z nich jest język, o którym już wspomniałem, a który autor słowa wstępnego nazywa „dzwonną gwarą tamtejszą”... Stronice powieści roją się od wyrazów, które w formie nieskażonej przeżyły kilkaset lat bytowania nadberezyniczów. Dziś te wyrazy uległy lub ulegają zapomnieniu. A jutro będziemy je może odfektrować przy pomocy słownika — jak czynimy dziś z niektórymi wyrazami Mickiewicza... To żyto, które krasuje... Ta punia z wonnym sianem... Ten stary, lecz duży (t.j. mocny) człowiek... To kwitujące wonnymi storczykami czarnoleśie... Te sny (t.j. sasaki) w liliowej mgle borów wiosennych... Ten chłopiec, który idzie trząść siano bydłu... Ten zinnik (droga zimowa) przez zamrażające bagna i bezdroża... Te bolesne skuby na sercu... Te podkury na dębach, t.j. do brony podobne urządzenia dla ochrony ulów przed niebezpieczeństwami... Takie to

czworgiem, zwróciła się do Ryszarda Kiernowskiego, prosząc go o chwilę rozmowy i parę objaśnień.

— Przepaszam, że zatrzymuję Pana — powiedziała Zapolska — ale poznając w Panu znaną mi dobrze z wyglądu i charakteru postać Profesora, jak też środowisko i epokę jakie go wydały, cieszę się, że pozostał Pan dla naszego niewiadomego życia i nieznaną kobiet, najprzód poszedłszy na lep ładnej twarzyczki żony, a potem pozwalając się opętać pozorom troskliwości domowej szwaczki, która opanowuje Pana jednocześnie z kredensem i szpiarką... Czy może mi Pan wyjaśnić dlaczego pańska żona i jej kołchanek ubierają się nie jak Panu rówieśnik, lecz jakby byli pokoleniem wstecz?!

Profesor odpowiedział na to z pewnym zakłopotaniem: „Przynajmniej, że nigdy nie interesowałem się zbytnio srojami mej żony, a tym bardziej nie mam wpływu na sposób ubierania się jej kołchanek”...

Zapolska pytała się dalej: „A czy Pan się nie obawia, że moja sztuka, pochodząca jeszcze sprzed tamtej wojny, wyda się emigracji londyńskiej przestarzałą?”

— Przecież zajmuje się ona, zauważył Kiernowski — Profesor, zawsze aktualnymi sprawami małżeństwa i miłości?!”

— Tak, to prawda — potwierdziła Zapolska — ale kończy się rozejściem małżeństwa, a dzisiaj z rozejściem jest jak z... katemem: w średniowieczu był chorobą śmiertelną, dzisiaj... trwa trzy dni. Rozejście się, które w XIX wieku było katastrofą życiową dziś nie jest nawet tematem do dramatu, chyba, że wprowadzi się doń uczucie... Otóż przykro mi o tym mówić, ale pańska żona i jej kołchanek umieją tylko błaznować. Na ich te pańskie głębokie uczuciowe akcenty wydawały się niezrozumiałe, wprost nie w miarę. Czy nie było kogoś, kto by Pana żonie zwrócił na to uwagę?!”

— „Pani ma na myśli reżysera?” — zapytał z kolei Kiernowski — „nie — reżyseria była zespolowa.”

— „Hm — zauważyła Zapolska — za moich czasów, a byłam przecież i aktorką, nie było w teatrze takiej demokracji. W teatrze, jak w życiu, ktoś musi ponosić odpowiedzialność.”

Na końcu, Zapolska odezwała się, jako autor: „A czy Pan myśli, że publiczność, która mnie zna i pamięta i ta, która mnie dopiero poznaje obecnie, czy dzięki tak wystawionej sztuce „Ich Czworo” oceni mnie tak samo jak dawniej i nauczy się znów czegoś dzięki mnie o życiu i ludziach?”

Kiernowski — Profesor, odpowiedział na to dyplomatycznie: „Sąd o tym zostawmy publiczności.”

## ZAGADNIENIE TEATRU NA EMIGRACJI

Potrzeba teatru na emigracji, jako czynnika pedagogicznego, społecznego, narodowego, a nawet rozrywkowego, przy jednoczesnym małym poparciem go przez publiczność, stwarzają dla teatru trudności w spełnieniu jego zadania, a wokół niego zagadnienia, dotyczące jego istnienia.

Redakcja naszego tygodnika pragnęła by przyczynić się do wyjaśnienia tego zagadnienia i w tym celu otwiera swoje szpalty, zapraszając wszystkich miłośników teatru do wypowiedzenia się w sprawie teatru na emigracji.

Wiosną, to chyba obyczaj datował z jakichś lat sześćdziesiątych trzecich i trzydziestych pierwszych, kiedy kobiety, niewiągające jeszcze w wir powstańczej walk, czekały i czuwały, zajęte darcim szparpi.

Woskowa twarz staruchy, niespokojne palce podobne do szponów, czarny jedwab sukni zwisły ze szkieletu wgłębionego w fotel, spojrzenie oczu jak z bezbarwnego szkła... Trwoga przelatywała dreszczami pod skórą! Postusznie, z nienaturalną grzecznością podawaliśmy się inicjatywie wdów, przedchwyty rezerwowaniem naszej makabrycznej zabawy. Klaskaly, pokrzykiwały ochoczo. Zataczaliśmy kota, przytupywali. Kotki, myszki, ojciec Wergiliusz — No, Zosińko, wymyśl coś! Co mają robić wszystkie dzieci za twoim przykładem? Jadzia, Jadzia nam pokaże! A teraz Jureczek z Władziem! — widok, z daleka, musiał być malowniczy, było nas kilka-nasciuro, sukienki różowe, białe, błękitne, pantofelki, kokardy, marynarskie ubranka, kolnierzyki jak śnieg. I ten łęk!

W pokoju w Pańskiej stał pałacyk, stary i dość już podupadły, lecz pełen dostojnego wdzięku. Piętro przez ciąg paru lat wynajmowała moja Matka, Antonina z Miłkowskich Gawrońska, na pensję panięśką, bardzo w swoim czasie wziętą, cenioną, a szczególnie lubianą. Ulica za ogrodem nosiła nazwę Miłkowskiego (T. T. Jeża), mego Dziadka, więc było się, można powiedzieć, u siebie. Cóż z tego! Cóż, że w dwadzieścia kilka lat później na Uniwersytecie Jana Kazimierza powstał Instytut Orientalistyczny imienia Andrzeja Gawrońskiego, mego najstarszego brata, wcześniej zmarłego profesora sanskrytu, którego bibliotekę Rodzice ofiarowali Lwowowi, gdzie wykładał. Cóż z tego! To, co stanowiło punkt oparcia, stało się punktem katalogu dawnego stanu posiadania.

Parter pałacyku, wracając na Pańską 5, zajmowały właścicielki posesji, same staruszki, z matką rodu, panią Bogdanową, która zmarła bardzo wkrótce potem, w wieku lat 97. Wtedy wyprowadziły się i jej córki, sędziwe wdowy, panie Witosławska i Skibińska. Stwierdzić, że odrazu poweselało na Pańskiej, świadczyłoby o braku serca. Cóż, kiedy tak było. Obecność stuletniej staruszki i otaczająca ją atmosfera zacienienia, zgrozy i podziwu, bardzo zaciemniały życie. Nie wolno nam było nawet biegać po ścieżkach otaczających kwadrat trawnika przed domem, gdzie kwitły różę.

Podstłuchawcy powyższą rozmowę postanowiliśmy okazać się nie gorszym dyplomatą od Ryszarda Kiernowskiego.

W.G.

Woskowa twarz staruchy, niespokojne palce podobne do szponów, czarny jedwab sukni zwisły ze szkieletu wgłębionego w fotel, spojrzenie oczu jak z bezbarwnego szkła... Trwoga przelatywała dreszczami pod skórą! Postusznie, z nienaturalną grzecznością podawaliśmy się inicjatywie wdów, przedchwyty rezerwowaniem naszej makabrycznej zabawy. Klaskaly, pokrzykiwały ochoczo. Zataczaliśmy kota, przytupywali. Kotki, myszki, ojciec Wergiliusz — No, Zosińko, wymyśl coś! Co mają robić wszystkie dzieci za twoim przykładem? Jadzia, Jadzia nam pokaże! A teraz Jureczek z Władziem! — widok, z daleka, musiał być malowniczy, było nas kilka-nasciuro, sukienki różowe, białe, błękitne, pantofelki, kokardy, marynarskie ubranka, kolnierzyki jak śnieg. I ten łęk!

W pokoju w Pańskiej stał pałacyk, stary i dość już podupadły, lecz pełen dostojnego wdzięku. Piętro przez ciąg paru lat wynajmowała moja Matka, Antonina z Miłkowskich Gawrońska, na pensję panięśką, bardzo w swoim czasie wziętą, cenioną, a szczególnie lubianą. Ulica za ogrodem nosiła nazwę Miłkowskiego (T. T. Jeża), mego Dziadka, więc było się, można powiedzieć, u siebie. Cóż z tego! Cóż, że w dwadzieścia kilka lat później na Uniwersytecie Jana Kazimierza powstał Instytut Orientalistyczny imienia Andrzeja Gawrońskiego, mego najstarszego brata, wcześniej zmarłego profesora sanskrytu, którego bibliotekę Rodzice ofiarowali Lwowowi, gdzie wykładał. Cóż z tego! To, co stanowiło punkt oparcia, stało się punktem katalogu dawnego stanu posiadania.

Parter pałacyku, wracając na Pańską 5, zajmowały właścicielki posesji, same staruszki, z matką rodu, panią Bogdanową, która zmarła bardzo wkrótce potem, w wieku lat 97. Wtedy wyprowadziły się i jej córki, sędziwe wdowy, panie Witosławska i Skibińska. Stwierdzić, że odrazu poweselało na Pańskiej, świadczyłoby o braku serca. Cóż, kiedy tak było. Obecność stuletniej staruszki i otaczająca ją atmosfera zacienienia, zgrozy i podziwu, bardzo zaciemniały życie. Nie wolno nam było nawet biegać po ścieżkach otaczających kwadrat trawnika przed domem, gdzie kwitły różę.

Parter pałacyku, wracając na Pańską 5, zajmowały właścicielki posesji, same staruszki, z matką rodu, panią Bogdanową, która zmarła bardzo wkrótce potem, w wieku lat 97. Wtedy wyprowadziły się i jej córki, sędziwe wdowy, panie Witosławska i Skibińska. Stwierdzić, że odrazu poweselało na Pańskiej, świadczyłoby o braku serca. Cóż, kiedy tak było. Obecność stuletniej staruszki i otaczająca ją atmosfera zacienienia, zgrozy i podziwu, bardzo zaciemniały życie. Nie wolno nam było nawet biegać po ścieżkach otaczających kwadrat trawnika przed domem, gdzie kwitły różę.

Parter pałacyku, wracając na Pańską 5, zajmowały właścicielki posesji, same staruszki, z matką rodu, panią Bogdanową, która zmarła bardzo wkrótce potem, w wieku lat 97. Wtedy wyprowadziły się i jej córki, sędziwe wdowy, panie Witosławska i Skibińska. Stwierdzić, że odrazu poweselało na Pańskiej, świadczyłoby o braku serca. Cóż, kiedy tak było. Obecność stuletniej staruszki i otaczająca ją atmosfera zacienienia, zgrozy i podziwu, bardzo zaciemniały życie. Nie wolno nam było nawet biegać po ścieżkach otaczających kwadrat trawnika przed domem, gdzie kwitły różę.

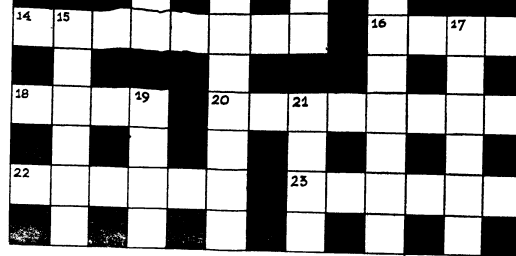
Parter pałacyku, wracając na Pańską 5, zajmowały właścicielki posesji, same staruszki, z matką rodu, panią Bogdanową, która zmarła bardzo wkrótce potem, w wieku lat 97. Wtedy wyprowadziły się i jej córki, sędziwe wdowy, panie Witosławska i Skibińska. Stwierdzić, że odrazu poweselało na Pańskiej, świadczyłoby o braku serca. Cóż, kiedy tak było. Obecność stuletniej staruszki i otaczająca ją atmosfera zacienienia, zgrozy i podziwu, bardzo zaciemniały życie. Nie wolno nam było nawet biegać po ścieżkach otaczających kwadrat trawnika przed domem, gdzie kwitły różę.

Parter pałacyku, wracając na Pańską 5, zajmowały właścicielki posesji, same staruszki, z matką rodu, panią Bogdanową, która zmarła bardzo wkrótce potem, w wieku lat 97. Wtedy wyprowadziły się i jej córki, sędziwe wdowy, panie Witosławska i Skibińska. Stwierdzić, że odrazu poweselało na Pańskiej, świadczyłoby o braku serca. Cóż, kiedy tak było. Obecność stuletniej staruszki i otaczająca ją atmosfera zacienienia, zgrozy i podziwu, bardzo zaciemniały życie. Nie wolno nam było nawet biegać po ścieżkach otaczających kwadrat trawnika przed domem, gdzie kwitły różę.

Zbierało się na placz, zbierało się na śmierć.

Zofia Kozarynowa

## ZWIĄZKI ZIEM WSCHODNICH BRONIĄ NASZYCH PRAW DO LWOWA I WILNA



### POZIOME :

7. Zwierzę. 8. Używana przy słuchaniu nowości. 9. Znana postać z 20-ego stulecia. 10. Sklepek. 11. Część twarzy. 12. Prowincja we Francji. 14. Linia. 16. Ciemność. 18. Coś wyjątkowego. 20. Zbrojownię. 22. Część ciała (wspak). 23. Miasto w Polsce.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr. 21.

### POZIOME :

7. Kopicie. 8. Alicja. 9. Palestyna. 10. Asan. 11. Pale. 12. Statysta. 14. Hotelarz. 16. Adam. 18. Muza. 20. Fabrykant. 22. Szaber. 23. Browar.

### PIONOWO :

1. Bóg egipski. 2. Inaczej schowana. 3. Imię żeńskie. 4. Szabla. 5. Halas. 6. Część drzewa (l. mn.). 12. Szpica. 13. Postać z Mickiewicza. 15. Miasto we Włoszech. 17. Tarcza. 19. Szczępe południowego afrykański. 21. Epos.

### PIONOWO :

1. Kolasas. 2. Pireneje. 3. Ocet. 4. Bakalarz. 5. Pina. 6. Tracja. 13. Kolyhsany. 15| Osusza. 17. Ataman. 19. Alba. 21. Bóbr.

### 30 LAT KAPLAŃSTWA

W najbliższych dniach upływa 30 lat Świątce Kapłańskich Księdza Adama Wróbla, proboszcza Trembowli, a ostatnio Kapelana 6-go Szpitala Wojskowego.

Wszyscy, którzy mieli sposobność poznać Księdza Wróbla w Małopolsce Wschodniej, jako Kapelana i jako działacza spółdzielczego, jak też ci co go poznali na Kolymie jako towarzyszącego, lub w Iranie, we Włoszech i Wielkiej Brytanii jako opiekuna dzieci i pocieszyciela strapionych, złączą się w szczerym życzeniu dalszej pracy nad umocnieniem ducha tych, którzy się z nim stykają.

W związku z konferencją Miństrów Spraw Zagranicznych w Paryżu oraz wzrastającym naciskiem w Kraju

### STRONICTWO NARODOWE

zwołuje w piątek, 27 b.m., o godz. 19.30 (7.30 wiecz.)

w Westminster Cathedral Hall (obok katedry katolickiej)

Zgromadzenie Publiczne na temat

„Wobec nowych zadań polityki polskiej”

Przemawiać będą:

Zygmunt Berzowski, Alfons Sergot (przebyły z Kraju 5 b.m.), Edward Sojka.

Przewodniczy: Zbigniew Stypułkowski.

Wstęp wolny. Dojazd do St. Victoria.

W tym celu otwiera swoje szpalty, zapraszając wszystkich miłośników teatru do wypowiedzenia się w sprawie teatru na emigracji.

W tym celu otwiera swoje szpalty, zapraszając wszystkich miłośników teatru do wypowiedzenia się w sprawie teatru na emigracji.

W tym celu otwiera swoje szpalty, zapraszając wszystkich miłośników teatru do wypowiedzenia się w sprawie teatru na emigracji.

W tym celu otwiera swoje szpalty, zapraszając wszystkich miłośników teatru do wypowiedzenia się w sprawie teatru na emigracji.

W tym celu otwiera swoje szpalty, zapraszając wszystkich miłośników teatru do wypowiedzenia się w sprawie teatru na emigracji.

## ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

„LWOW I WIENO”, 42, Eton Place, Chalk Farm, London, N.W.3.

„POD PRĄD”, Case Postale 155, Fribourg 1 (Suisse).

### PRENUMERATA :

W. Brytania — egz. poj. 1 sh., miesięcznie 3 sh., kwartalnie 6 sh. Szwajcaria — miesięcznie 1.50 fr., kwartalnie 4.50 fr., itd. Niemcy — miesięcznie 2 DM, kwartalnie 6 DM, itd. Francja — egz. poj. 15 fr., miesięcznie 60 fr., kwartalnie 150 fr. Włochy — egz. poj. 60 lir., miesięcznie 240 lir., kwartalnie 600 lir. U.S.A. — miesięcznie 40 ct., kwartalnie 1 dol.

TARYFA OGŁOSZEN według umowy.

Published by: Stefan Tyszkiewicz. 42, Eton Place, Chalk Farm, London, N.W.3. Printed by: Drukarnia Polska M. Caplin and Co. Press, Ltd. 15, Dunheved Road North, Thornton Heath, Surrey. Tel.: THO 2727

To żyto, które krasie... Ta pania z wonnym śnaniem... Ten stary, lecz duży (t.j. mocny) człowiek... To kwitnące wonnymi storczykami czarłoświecie... Te sny (t.j. saskanki) w liliorowej mgle borów wiosennych... Ten chłopiec, który idzie trząść siano bydlu... Ten zimnik (droga zimowa) przez zamrznięte bagna i bezdroża... Te bolesne skuty na sercu... Te podkury na dębach, t.j. do brony podobne urządzenia dla ochrony ulów przed niedźwiedziami... Takie to perły i perełki roją się na stronach książki, która ma w sobie i wonną ciszę przedwieczera letniego — ze skrzypleniem żórawi i przykwiwaniem krów, wracających z pastwiska — i groźny patos dni wojny i rewolucji: patos bohaterstwa i zdrady, nadziei i zwątpień, słodkiego upicia się wolnością w krótkim okresie „gdy Dowbór Polskę ustanowił” i mrocznej rozpacz „gdy Polska bez włączenia ich ziemi traciła dla nich na uroku”...

Michał K. Pawlikowski

### ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Stefan Koper (Sudbury Hill) — rozumowanie Pana nie jest poprawne, naszym zdaniem. Jeżeli jakaś osoba lub instytucja (w tym wypadku gazeta) nie chce przycisnąć się do rozpowszechnienia poglądów, które uważa za szkodliwe (w tym wypadku książka Lindseya) — czy to jest nietolerancja, represja i „metody stosowane w Kraju”? Niech się Pan zastanowi. A potem niech Pan porówna swój list ze swymi poglądami, które są z pewnością bardziej tolerancyjne, niż by na to list wskazywał!

P. Feliks Jaguzański (Paryż) — skoro Pan reklamuje, przynajmniej chętnie fakt niewątpliwy, że ominięliśmy Pana nazwisko, jako Autora, w przedruku z tyg. „Syrena”. Ale jaka w tym mogła być „zła wola”, którą Pan uprzejmie wyklucza?

### FUNDUSZ PRASOWY „POD PRĄD”

P. ANTONI GÓRSKI we Fryburgu — 10.00 frs. P. MIECZYŚLAW KOCWIN w Winterthur — 5.00 fr. (zamiaty życzeń świątecznych). P. W. CHYLEWSKI w Zurichu — 1.50 fr. (za II. kw. 1949). P. EUGENIUS WOSIŃSKI w Reichenburgu — 5.00 fr. Mgr. HENRYK KOPF 2 Horn — 2.00 frs. P. WITOLD WILCZYŃSKI w La Neuveville — 10.50 frs. (za II. kw. 1949). KOMITET ORGANIZACYJNY TOW. POLSKICH w Zurichu — 10.00 frs.